



Juliusz Verne Wujek Robinson



ISBN 978-83-64701-27-6

Juliusz Verne



WUJEK ROBINSON

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

Szesnasta publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Tytuły oryginału francuskiego: *L'Oncle Robinson*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2014

26 ilustracji pochodzących z różnych powieści Juliusza Verne'a
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja i korekta: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Skład: Andrzej Zydorczak

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne'a**

Wydanie I

© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2014

ISBN 978-83-64701-26-9

Wstęp

Dzisiaj przedkładam Czytelnikom nigdy do tej pory nie przetłumaczoną na język polski powieść sławnego francuskiego autora, jednego z najczęściej tłumaczonych na świecie pisarzy. Tym razem chodzi o *Wujka Robinsona*, powieść napisaną dla młodych czytelników, a także pierwszą, do której Juliusz Verne w rolach głównych wprowadził dzieci. Tą rodzinną robinsonadą Verne zamierzał rywalizować ze słynnym, ulubionym przez niego wzorcem, czyli powieścią Johanna Dawida Wyssa *Robinson szwajcarski*, która ukazała się w języku francuskim w roku 1816, a nawet może ją przewyższyć.

Jego wydawca Hetzel nie chciał przyjąć rękopisu w takim stanie, jaki przedstawił mu Juliusz Verne, to znaczy z dziećmi jako bohaterami powieści. Według niego pisarz miał opisywać wyłącznie losy dorosłych ludzi, w miarę możliwości uczonych i wielkich ryzykantów.

Z tego powodu *Wujek Robinson* nigdy nie został wydany za życia francuskiego autora. W późniejszym czasie pisarz wziął z tej powieści pewne fragmenty i umieścił je w pierwszej części *Tajemniczej wyspy*, powieści, której *deus ex machina* jest kapitan Nemo. *Wujek Robinson*, którego akcja toczy się w 1861 roku na wyspie położonej na Oceanie Spokojnym, jest książką wychowawczą i pasjonującą, ponieważ nurza się w atmosferze niemającej porównania z późniejszymi utworami autora *Nadzwyczajnych Podróży*.

Niektóre rękopisy Juliusza Verne'a ujrzały światło dzienne dopiero, kiedy miasto Nantes zdecydowało się wykupić je od rodziny w 1981 roku za sumę sześciu milionów franków. W zbiorze znajdowały się m.in. oryginały powieści *Piękny, żółty Dunaj*, *Latarnia na końcu świata*, czy *Magellania*, a także *Podróż wsteczna do Anglii i Szkocji* czy właśnie *Wujek Robinson*.

Powieść w formie książki po raz pierwszy została wydana we Francji przez Francuskie Towarzystwo Juliusza Verne'a, pod redakcją Christiana Robina.

Uważni czytelnicy twórczości J. Verne'a zapewne z łatwością odnajdą w niej te fragmenty, które później zostały przeniesione (niektóre w nieco zmienionej formie) do *Tajemniczej wyspy*.

Życzę przyjemnej lektury!
Andrzej Żydorczak

Rozdział I

Północny Ocean Spokojny – Opuszczona łódź – Matka i jej czworo dzieci – Człowiek trzymający ster – Niech się dzieje wola Nieba! – Pytanie bez odpowiedzi

Rozległy obszar morski ograniczony od zachodu i wschodu przez Amerykę i Azję, a od północy i południa przez Wyspy Aleuckie i wyspy Sandwich stanowi najbardziej opustoszałą część Oceanu Spokojnego. Statki handlowe bardzo rzadko odważają się zapuszczać na te wody. W tym rejonie nie można znaleźć żadnego punktu, gdzie dałoby się odpocząć, a do tego przepływające tu prądy są bardzo kapryśne. Statki dalekomorskie, które przewożą produkty i płody Nowej Holandii¹ do Zachodniej Ameryki, trzymają się niższych szerokości geograficznych. Północną część Pacyfiku mógłby ożywić jedynie handel pomiędzy Japonią a Kalifornią, ale ten jest w tej chwili jeszcze mało znaczący. Trasa statków pasażerskich płynących pomiędzy Jokohamą a San Francisco przebiega przez ten ocean nieco poniżej czterdziestego równoleżnika naszego globu. Tak więc od czterdziestego do pięćdziesiątego stopnia szerokości geograficznej północnej istnieje coś, co można byłoby nazwać pustynią. Czasami być może jakiś statek wielorybniczy odważy się wpłynąć na te prawie nieznanne wody, ale zaraz szybko stamtąd umyka, starając się przeskoczyć pas Wysp Aleuckich, aby wpłynąć w Cieśninę Beringa, poza którą schroniły się wielkie walenie, zbyt namiętnie są ścigane przez harpuny rybaków.

Czy na tym obszarze morskim, wielkim jak Europa, znajdują się jeszcze jakieś nieznanne wyspy? Czy aż do tej szerokości geograficznej rozciąga się Mikronezja²? Nie umiano ani temu zaprzeczyć, ani to potwierdzić. Wśród tak wielkiej wodnej płaszczyzny mała wysepka nic nie znaczy. Taki prawie niedostrzegalny punkt mógł swobodnie ująć uwadze eksploratorów, którzy przemierzali te wody. Może nawet jakiś znacznie-
szy ląd ukrywał się jeszcze do tej pory przed wzrokiem badacza? Jak bowiem powszechnie wiadomo, w tej części globu dwa naturalne zjawiska powodują pojawianie się nowych wysp: z jednej strony jest to działanie sił plutonicznych³, które mogą nagle wydzwignąć ziemię powyżej fal, a z drugiej strony stała praca wymoczków⁴, budujących powoli koralowe ławice, które za kilkaset tysięcy lat będą tworzyć szósty kontynent na tej części Pacyfiku.

Tymczasem dwudziestego piątego marca 1861 roku ten kawałek Pacyfiku, który został powyżej opisany, nie był z pewnością opuszczony, po jego bowiem powierzchni pływała łódź. Nie był to ani statek parowy linii transoceanicznej, ani okręt wojenny idący strzec miejsca łowienia ryb na północy, ani statek handlowy, handlujący owocami Moluków albo Filipin, który nagłe uderzenie wiatru rzuciło poza jego ustaloną drogę, nawet nie łódź rybacka ani też zwykła szalupa. To była mizerna łódeczka wyposażona jedynie w mały fok⁵. Starła się dotrzeć do lądu, który znajdował się jakieś dziewięć lub dziesięć mil morskich⁶ po nawietrznej⁷. Dlatego też łódeczka halsowała⁸, trzymając się możliwie jak najbliżej linii przeciwnego wiatru i wykorzystu-

1 Nowa Holandia – dawna nazwa Australii.

2 Mikronezja – środkowa część Oceanii; do Mikronezji zalicza się obecnie: Mariany, Karoliny, Wyspy Marshalla, Wyspy Gilberta, Nauru, Banaba; łącznie około 1500 wysp.

3 Siły plutoniczne – zjawiska związane z wciskaniem się magmy w warstwę skorupy ziemskiej, bez wydostania się na powierzchnię Ziemi; u J. Verne'a w szerszym pojęciu, w powiązaniu ze zjawiskami wulkanicznymi.

4 Wymoczki – Verne użył tutaj wyrazu *infusoires*, obecnie oznaczającego orzęski (wymoczki), lecz w XIX wieku mającego bardziej szerokie znaczenie, określającego małe żyjątka, które można dostrzec jedynie pod mikroskopem, a w dziedzinie paleozoologii oznaczającego okrzemki lub otwornice; rafa tworzą obumarłe szkielety wapienne organizmów roślinnych i zwierzęcych; występują zazwyczaj masowo, tworząc kolonie; należą do nich m.in. koralowce (zwłaszcza madrepory), otwornice, pierścienice, mięczaki i mszywoły; z organizmami rafotwórczymi związane są w różny sposób liczne gatunki roślin i zwierząt zamieszkujących w szczelinach raf, a także takie, które żyją z nimi w symbiozie, pasożytują na nich lub odżywiają się nimi (np. gąbki, małże).

5 Fok – główny żagiel przedniego masztu; tu: jedyny żagiel na jedynym maszcie.

6 Mila morska równa się 1,852 metrom.

7 Nawietrzna – burta statku wystawiona na działanie wiatru.

8 Halsowanie – metoda poruszania się statku żaglowego w kierunku, z którego wieje wiatr. Ponieważ nie ma możliwości, aby płynąć dokładnie wprost na wiatr, stosuje się manewr zastępczy, polegający na płynięciu zakosami, czyli lewym lub prawym halssem.

jąc przyptyw, który jednak niezbyt wiele pomagał w tych manewrach, gdyż pływy⁹ na Oceanie Spokojnym są bardzo niewielkie.

Pogoda była bardzo ładna, chociaż panował lekki chłód. Po niebie przetaczały się niewielkie chmury. Tu i ówdzie słońce zapalało swym blaskiem małe grzebienie pieniających się, długich fal, które kołysały łódką, ale nie powodowały zbyt silnych wstrząsów. Sztywno postawiony żagiel, co miało służyć lepszemu chwytaniu wiatru, sprawiał czasami, że łódeczka mocno się przechylała, szorując górną częścią burt powierzchnię wody. Jednak szybko się prostowała i znowu poddawała wiatrowi, przybliżając się powoli do morskiego wybrzeża.

9 *Pływy morskie* (przyptyw i odpływ) – regularnie powtarzające się podnoszenie i opadanie poziomu wody w oceanie; wywołuje je zjawisko pływowe, którego przyczyną są siły grawitacyjne Księżyca i Słońca; największy skok pływu zanotowano w Zatoce Fundy (Kanada), gdzie wynosił prawie 20 m.



[Kup książkę](#)

Uważnie się przypatrzysz, każdy marynarz rozpoznałby, że ta łódź była konstrukcji amerykańskiej, zrobiona z jodły kanadyjskiej¹⁰. Zresztą na tablicy znajdującej się na jej rufie można było przeczytać dwa słowa: „*Vancouver*”¹¹ *Montreal*, które wskazywały na jej pochodzenie.

W łodzi znajdowało się sześć osób. Przy sterze siedział człowiek mający trzydzieści pięć do czterdziestu lat, niewątpliwie dobrze obznajomiony z morzem, gdyż kierował tą łódeczką niezwykle wprawną ręką. Był to mężczyzna bardzo mocno zbudowany, szeroki w ramionach, dobrze umięśniony, czyli w pełnej sile wieku. Jego spojrzenie tchnęło szczerością i wyglądał na otwartego człowieka. Na twarzy odzwierciedlała się wielka dobroć. Po jego prostej, zwykłej odzieży, po rękach pokrytych odciskami, po nieokrzesaniu wyciśniętym na całej jego postaci, po ciągłym gwizdaniu, jakie wydobywało się z jego warg, łatwo można było poznać, że nie należał do wyższych sfer. Po sposobie, w jaki kierował łodzią, nie można było wątpić, że był człowiekiem morza, ale nie oficerem, lecz tylko prostym marynarzem. Jeśli chodzi o jego pochodzenie, to z łatwością można je było określić. Z pewnością nie był Anglosasem¹², nie posiadał bowiem twardych, ostrych rysów ani sztywnych ruchów, tak charakterystycznych dla ludzi tej rasy. Można by w nim dojrzeć pewien naturalny wdzięk, ale na pewno nie grubiańską bezceremonialność wskazującą na Jankesa¹³ z Nowej Anglii. Jeżeli ten człowiek nie był Kanadyjczykiem pochodzącym od tych śmiałych pionierów, u których odnajduje się jeszcze galijskie¹⁴ wpływy, to musiał być Francuzem, bez wątpienia trochę zamerykanizowanym, ale zawsze Francuzem, jednym z tych zręcznych, odważnych, dobrych, usługowych zuchów, na wszystko gotowych się ośmielić, nigdy niczym się nieprzejmujących, pewnych siebie osobników nieulegających bojaźni, czyli takich, jakich często się spotyka na francuskiej ziemi.

Marynarz siedział w tylnej części łodzi. Cały czas uważnym wzrokiem śledził to morze, to żagiel. Równocześnie pilnował jednego i drugiego. Poprawiał kurs, jeżeli jakaś fałda na żaglu wskazywała, że płynie zbyt ostro do wiatru, albo też delikatnie zmieniał kierunek łódki, aby ominąć jakąś większą falę.

Od czasu do czasu z jego ust padało jedno słowo albo raczej polecenie. Gdy je wypowiadał, można było dosłyszeć pewien szczególnie akcent, który nie mógł się wytworzyć w gardle Anglosasa.

– Nie obawiajcie się, moje dzieci – mówił. – Sytuacja nie jest bardzo dobra, ale mogłaby być ona jeszcze gorsza. Uspokójcie się i zniżcie głowy, będziemy robić zwrot.

Wtedy dzielny marynarz kierował swoją łódkę na wiatr. Żagiel z hałasem przelatywał nad pochylonymi głowami siedzących osób i szalupa, pochylając się na drugą burtę, powoli przybliżyła się do wybrzeża nieznanego lądu.

W tylnej części, blisko silnego sternika, siedziała kobieta wyglądająca na jakieś trzydzieści sześć lat, zakrywająca twarz fragmentem szala. Kobieta płakała, ale starała się ukryć swoje łzy, aby nie doprowadzać do większej rozpacz dzieci, które się przy niej skupiły.

Była to matka czworga dzieci, które razem z nią unosiła łódź. Najstarsze z nich miało siedemnaście lat. Był to dobrze zbudowany chłopak, który zapowiadał się na silnego mężczyznę, jakim niewątpliwie kiedyś się stanie. Czarne włosy i ogorzała od morskiego wiatru twarz dodawały mu uroku. W kącikach jego zaczerwienionych oczu widać było jeszcze kilka łez. Zapewne gniew, w równym stopniu co zmartwienie musiał go sprowokować do płaczu. Stał wyprostowany na dziobie łódki, blisko masztu i spoglądał na odległą jeszcze ziemię. Niekiedy, odwracając się, żywym a jednocześnie bolesnym i zirytowanym wzrokiem omiatał zaokrąglający się na zachodzie horyzont. Wówczas twarz mu bardzo bladła i ledwo panował nad sobą, by nie wykonać jakiegoś gniewnego gestu. Potem kierował wzrok ku człowiekowi trzymającemu ster, a ten z łagodnym uśmiechem na twarzy dawał mu niewielki znak głową, mający go pokrzepić.

Młodszy brat tego chłopca nie miał więcej niż piętnaście lat. Jego wielką głowę pokrywała wiecha rudych włosów. Cały czas był w ruchu, wykazując duże zniecierpliwienie i zaniepokojenie: to wstawał, to znowu przysiadł. Dało się wyczuć, że nie umiał się pohamować. Dla niego ta łódka płynęła zbyt wolno, a ziemia nie przybliżała się tak szybko, jak by tego pragnął. Chciałby już postawić nogę na wybrzeżu, by uciec gdzieś daleko, gdy tylko się na nim znajdzie. Kiedy jednak jego spojrzenie spoczęło na matce, gdy usłyszał westchnienia, które podnosiły pierś biednej kobiety, podszedł do niej, objął ją ramionami i okrył gorącymi

10 *Jodła kanadyjska* (choina kanadyjska, *Tsuga canadensis*) – gatunek drzewa iglastego z rodziny sosnowatych; pochodzi z lasów Ameryki Północnej; wysokość do 50 m, średnica pnia do 1,5 m.

11 „*Vancouver*” – u J. Verne’a: „*Vankouever*”.

12 *Anglosasi* – ludy germańskie: Anglowie, Sasi i Jutowie, które w V-VI w. zajęły obszar obecnej Anglii, utworzyły niewielkie królestwa (heptarchia), a później państwo angielskie; różnice międzyplemienne zanikły, wykształcając społeczeństwo anglosaskie.

13 *Jankes* – ironiczne określenie Amerykanina.

14 *Galia* – w starożytności nazwa nadana przez Rzymian obszarowi zamieszkanemu przez plemiona celtyckie.

pocałunkami. Nieszczęśliwa kobieta przycisnęła go do piersi i szeptała: „Biedne dziecko! Biedne dzieci!”

Jeżeli patrzyła wtedy na marynarza siedzącego u steru, ten nigdy nie zapominał dać jej znak ręką, który bez wątpienia oznaczał: „Ależ wszystko idzie dobrze, pani, i wykręcimy się z tej afery!”

Tymczasem spoglądając na południowy zachód, człowiek ten widział podnoszące się powyżej horyzontu gęste, wielkie chmury, który nie zapowiadały nic dobrego dla jego towarzyski drogi i jej dzieci. Istniało zagrożenie, że wiatr znacznie się nasili, a zbyt mocny wiatr okazałby się fatalny dla tej kruchej łupiny, nieposiadającej żadnego pokładu. Jednakże te obawy marynarz zachowywał dla siebie i w żaden sposób nie pozwalał sobie na okazywanie bojaźni, jaka nim wstrząsała.

Dwoje pozostałych dzieci to byli chłopczyk i dziewczynka. Chłopczyk w wieku ośmiu lat, o jasnych włosach, miał pobladłe od zmęczenia wargi; jego niebieskie oczy były na wpół przymknięte, a policzki, które kiedyś musiały być świeże i różowe, teraz łyzy pozbawiły wszelkiego blasku. Małe ręce, obolałe od panującego zimna, ukrywał pod szalem matki. Przy nim siedziała jego siostra, siedmioletnia dziewczynka. Zmęczona wstrząsami falującego morza, na wpół śpiąc, tuliła się w ramionach matki, a jej główka chwiała się na boki w takt bocznych przechyłów łódeczki.

Jak to już wspomniano, tego dnia, dwudziestego piątego marca, powietrze było zimne; z północy nadlatywał ostry wiatr, zamieniając się w lodowate porywy. Nieszczęśni ludzie znajdujący w tej łodzi byli zbyt lekko ubrani, by mogli się opierać chładowi. Zapewne musieli doświadczyć jakiejś katastrofy, brali udział w rozbiciu się statku albo kolizji, która zmusiła ich do szybkiej ucieczki tą łódeczką. Zresztą było to widać po małej ilości żywności, którą zdołali z sobą zabrać: w skrzyni stojącej na dziobie znajdowało się nieco sucharów i dwa czy trzy kawałki solonego mięsa.

Gdy na wpół przebudzony mały chłopiec potarł rączkami oczy, powiedział półgłosem:

– Mamo, jestem głodny!

Sternik natychmiast się podniósł, wziął z pudełka suchar i dał go dziecku, a następnie powiedział z uśmiechem:

– Jedz, mały, jedz! Jeśli teraz nie mamy dużo, to może później będziemy mieć więcej!

Tak zachęczone dziecko łączywie gryzło twardą skórkę i z powrotem położyło główkę na ramieniu matki.

Tymczasem nieszczęśliwa matka, widząc, że dwoje jej dzieci trzęsło się z zimna mimo założonej odzieży, oddała im swoją. Zdjęła szal i okryła je, by było im cieplej. Wówczas można było zobaczyć jej piękną, zgrabną figurę, jej wielkie czarne oczy, poważne i zamyśłone, twarz z głęboko zaznaczonym na niej wyrazem matczynej czułości i poświęcenia. To była matka w najlepszym znaczeniu tego słowa, matka, która mogłaby być matką Waszyngtona, Franklina albo Abrahama Lincolna, kobieta biblijna, silna i odważna, złożona z samych cnót i samych czułości. Aby ją zobaczyć wzburzoną i połykającą łyzy, musiałyby chyba otrzymać jakiś śmiertelny cios. Teraz oczywiście walczyła z rozpaczą, ale łyzy, które pojawiły się w jej oczach, pokazywały, co się działo w jej sercu. Podobnie jak jej starszy syn, czasami zwracała wzrok na horyzont, jakby szukając poza morzem jakiegoś niewidocznego obiektu, ale nie widząc nic oprócz ogromu pustkowia, biedna kobieta schowała się na dnie łodzi. Można było zauważyć, że jej wargi wypowiedziały te słowa ewangelicznej uległości:

– Panie, niech się dzieje Twoja wola!

Otuliwszy dzieci fałdami szala, sama pozostała lekko ubrana. Zwykła wełniana suknia i rodzaj dość cienkiego kaftanika nie mogły jej ochronić przed kłującym marcowym wiatrem, który swobodnie przedostawał się pod kapelusz z szerokim rondem. Każde z trójki jej dzieci nosiło wełnianą marynarkę, spodnie oraz skórzane kaftaniki, a na głowie płócienną wodoodporne czapki. Jednak na tę odzież powinny też mieć założone opończe z podwójnym kapturem i podróżne płaszcze z grubego materiału. Lecz dzieci nie narzekały na chłód. Niewątpiwanie nie chciały przysparzać matce dodatkowych kłopotów.

Co do marynarza, to był ubrany w spodnie z welwetu¹⁵ i marynarską bluzę z brunatnej wełny, co nie wystarczało, by go ochraniać przed szczypiącym wiatrem. Jednakże ten odważny człowiek miał gorące serce, prawdziwy żar życia, które pozwalało mu silnie reagować na cierpienia fizyczne. Toteż większy ból sprawiało mu cierpienie innych niż własne. Spojrzawszy na nieszczęsną kobietę, która zdjęła szal, by okryć dzieci, zobaczył, że trzęsła się z zimna i mimowolnie szczękała zębami.

Natychmiast wziął szal i założył go na ramiona matki, a ściągnąwszy z siebie marynarską bluzę, jeszcze ciepłą od jego ciała, okrył nią starannie dwoje małców.

15 Welwet – tkanina z grupy tkanin z okrywą włókienną (runowych); rodzaj pluszu, w którym okrywa włókienna utworzona jest z rozciągniętych długich przeplotów dodatkowego wątku runowego.

Matka chciała zaprotestować przeciw takiemu zachowaniu.

– Duszę się! – odpowiedział po prostu marynarz, ocierając czoło chustką do nosa, jak gdyby pot spływał z niego grubymi kroplami.

Biedna kobieta wyciągnęła do mężczyzny rękę, którą ten serdecznie uściskał, nie wypowiadając ani słowa.

W tym momencie najstarsze z dzieci podbiegło na mały pokład, który tworzył przód łodzi, i uważnie obserwowało zachodnią część morza. Podniosło dłoń powyżej oczu, by je osłonić przed promieniami słońca i lepiej widzieć. Ale ocean skrzył się w tamtej stronie i linia horyzontu gubiła się w intensywnym blasku. W tych warunkach dokładna i pewna obserwacja stawała się bardzo trudna.

Niemniej dziecko jeszcze dość długo patrzyło na morze, podczas gdy marynarz potrząsał głową, wydając się mówić, że jeżeli miała nadejść jakaś pomoc, to należało jej szukać gdzieś znacznie wyżej!

W tej chwili dziewczynka, obudzwszy się właśnie, wysunęła się z ramion matki, pokazując bladą twarzyczkę. Potem, przypatrzwszy się osobom, które znajdowały się w łodzi, zapytała:

– Gdzie jest tatuś?

Na to proste pytanie nikt nie udzielił odpowiedzi. Oczy pozostałych dzieci napełniły się łzami, a matka, ukrywając twarz w dłoniach, zaczęła głośno szlochać.

Marynarz milczał, nie potrafiąc nic powiedzieć na widok tego głębokiego bólu. Słowa, którymi do tej pory pocieszał owych biednych ludzi, już nie cisnęły mu się na usta, i tylko chwycił swoją silną ręką za ster.



Rozdział II

„Vancouver” – Inżynier Harry Clifton – Ładunek Kanaków¹⁶ – Poprzez Ocean Spokojny – Bunt na pokładzie – Pierwszy oficer Bob Gordon – Uwięzienie Cliftona – Rodzina zdana na łaskę i niełaskę fal – Poświęcenie Flipa

„Vancouver” był kanadyjskim trzymasztowcem o pojemności pięciuset beczek¹⁷. Został wynajęty do przewiezienia grupy Kanaków zdążających do San Francisco w Kalifornii. Wiadomo wszystkim, że Kanakowie, podobnie jak chińscy kulisi¹⁸, są dobrowolnymi emigrantami świadczącymi swe usługi za granicą. Na pokładzie „Vancouvera” podróżowało stu pięćdziesięciu emigrantów.

Zwykle podróżni unikają pokonywania Oceanu Spokojnego w towarzystwie Kanaków, ludzi szorstkich, zawsze skorych do buntów. Ich towarzystwo nie jest pożądane. Tymczasem pan Harry Clifton, amerykański inżynier, nie zamierzał wraz z całą rodziną wsiąść na pokład „Vancouvera”. Mister Clifton, od kilku lat zatrudniony przy regulowaniu ujść rzeki Amur, szukał okazji, by powrócić do Bostonu, swego rodzinnego miasta. Zdobył tu majątek i czekał na połączenie, jeszcze dość rzadkie, między północnymi Chinami a Ameryką. Gdy „Vancouver” przybył na wybrzeże Azji, Harry Clifton odnalazł w kapitanie dowodzącym tym statkiem swego rodaka i przyjaciela. Zdecydował się więc odbyć podróż na pokładzie jego statku, wraz z żoną, trzema chłopcami i dziewczynką. Zdobył pewien majątek i nie pragnął niczego więcej, jak tylko odpoczynku, chociaż był jeszcze dość młody, gdyż miał zaledwie czterdzieści lat.

Jego żona, mistress Éliśa Clifton, odczuwała jakąś bojaźń przed wsiadaniem na ten statek wypełniony Kanakami, ale nie chciała się sprzeciwiać mężowi, któremu pilno było zobaczyć znowu Amerykę. Zresztą podróż morska miała być krótka, a kapitan „Vancouvera” był doświadczony w tego rodzaju podróżach, co trochę uspokajało panią Clifton. Tak więc jej mąż i ona wsiadli na „Vancouvera” z trzema chłopcami: Marcem, Robertem, Jackiem, małą dziewczynką Belle i psem Fido.

Kapitan Harrisson, dowódca statku, był dobrym marynarzem, bardzo znanym w całej żegludze, szczególnie znającym te raczej bezpieczne rejony Oceanu Spokojnego. Związany przyjaźnią z inżynierem, dołożył wszelkich starań, by rodzina Cliftonów nie miała żadnego kontaktu z Kanakami, którzy zostali ulokowani na międzypokładzie¹⁹.

Żałoga „Vancouvera” składała się z dziesięciu marynarzy, których nie łączyły żadne więzi narodowościowe. Trudno było uniknąć takiej załogi, skoro była werbowana w dalekich krajach. Z tego powodu często dochodziło do konfliktów, które zakłócały przebieg rejsów. W skład załogi statku wchodziło dwóch Irlandczyków, trzech Amerykanów, Francuz, Maltańczyk, dwóch Chińczyków i trzech Murzynów wynajętych do usługiwania na pokładzie.

„Vancouver” wypłynął czternastego marca i podczas pierwszych dni żegluga przebiegała normalnie, ale wiatr nie był pomyślny, gdyż wiał z południa, i dlatego oraz z powodu morskich prądów, pomimo zręczności kapitana Harrissona statek zniosło dużo bardziej na północ, niż należało. Jednak nie spowodowało to żadnego poważnego niebezpieczeństwa oprócz przedłużenia się przeprawy. Prawdziwe zagrożenie tkwiło w nastawieniu niektórych członków załogi, którzy popychali Kanaków do buntu. Łotrzyków tych zachęcał do nieposłuszeństwa zastępca dowódcy Bob Gordon, skończony drań, nadużywający zaufania kapitana, z którym płynął po raz pierwszy. Już kilka razy doszło między nimi do ostrych sprzeczek, ale kapitanowi zawsze udawało się postawić na swoim. Były to godne pożałowania incydenty, które kiedyś mogły przynieść zgubne konsekwencje.

16 Kanakowie (Kanaka) – rdzenni mieszkańcy Nowej Kaledonii.

17 Beczka – miara pojemności, stosowana jako tonaż; b. amerykańska – 907 kg, b. angielska – 1016 kg.

18 Kulis – w południowo-wschodniej Azji: najgorzej opłacany robotnik, tragarz.

19 Międzypokład – pokład położony między głównym pokładem a dnem statku.



Jakoż wkrótce wśród załogi „Vancouvera” pokazały się ciężkie symptomy braku karności. Trudno było także dobrze kontrolować Kanaków. Kapitan Harrisson mógł liczyć tylko na dwóch Irlandczyków, trzech Amerykanów i Francuza, dzielnego marynarza prawie „zamerykanizowanego”, gdyż od dłuższego już czasu żył w Stanach Zjednoczonych. Ten zacny człowiek był z pochodzenia Pikardyjczykiem²⁰. Nazywał się Jean Fanthome, ale reagował tylko na przydomek Flip. Ten Flip poznał cały świat; przydarzyło mu się już wszystko, co może się przydarzyć ludzkiej istocie, ale nigdy nie tracił dobrego humoru, a cały jego umysł wypełniało wrodzone filozoficzne podejście do życia. To właśnie on zwrócił uwagę kapitanowi Harrissonowi na złe nastawienie załogi, to on namawiał do podjęcia bardziej energicznych kroków. Ale co można było zrobić w tej sytuacji? Czy nie lepiej było zachować umiarkowanie, zanim pomyślny wiatr nie popchnie statku w kierunku zatoki San Francisco?

Harry Clifton został poinformowany o knowaniach drugiego²¹ i jego niepokój z każdym dniem się powiększał. Widząc przymierze, jakie zawiązywało się między Kanakami i częścią marynarzy, poważnie żałował, że wsiadł na pokład „Vancouvera” i wystawił swoją rodzinę na niebezpieczeństwo podczas morskiej podróży, ale było już za późno.

Tymczasem naganne zachowanie zaczęło się przeradzać w akty przemocy i kapitan Harrisson kazał zakuć w kajdany Maltańczyka, który go obraził. To zdarzyło się dwudziestego trzeciego marca. Towarzysze Maltańczyka nie przeciwstawili się wykonaniu wyroku, tylko szeptali po kątach, kiedy ich kompan został schwytany przez Flipa oraz jednego Amerykanina i zakuty. Kara sama w sobie była niewielka, ale po przybyciu do San Francisco fakt niekarności mógł mieć dla tego Maltańczyka poważne konsekwencje. Tymczasem ten się nie opierał, niewątpliwie przekonany, że „Vancouver” nie osiągnie celu swego przeznaczenia.

20 *Pikardyjczyk* – mieszkaniec Pikardii, regionu administracyjnego i krainy historycznej w północnej Francji, położonej nad cieśniną La Manche.

21 *Drugi* – tu: drugi po Bogu na statku, czyli pierwszy oficer (pierwszym jest kapitan); może także oznaczać skróconą nazwę drugiego oficera.



Kapitan i inżynier często rozmawiali o tym przykrym stanie rzeczy. Harrisson, naprawdę zaniepokojony, myślał o zatrzymaniu Boba Gordona, który wcale nie krył zamiaru zawładnięcia statkiem. Jednak mogłoby to spowodować eksplozję, ponieważ pierwszego oficera popierała większość Kanaków.

– Oczywiście – odpowiedział mu Harry Clifton – aresztowanie niczego nie zakończy. Bob Gordon zostanie uwolniony przez swoich stronników i znajdziemy się w jeszcze gorszej sytuacji niż wcześniej.

– Masz rację, Harry – zgodził się kapitan. – Znam tylko jeden środek, by ten nędznik nie mógł już więcej nam szkodzić! Trzeba mu wsadzić kulę w głowę! Harry, jeśli on będzie dalej tak postępował, to tak zrobię! Ach, gdyby tylko wiatr i prądy nie były przeciwko nam!

Rzeczywiście, silny wiatr ciągle spychał „Vancouvera” poza wyznaczoną trasę. Wszystkie części statku ciężko pracowały. Pani Clifton i jej dwoje młodszych dzieci nie opuszczały rufówki²². Harry Clifton nie zamierzał powiadamiać żony o tym, co się działo na statku, nie chcąc niepotrzebnie jej niepokoić.

Tymczasem morze było tak wzburzone, a wiatr tak mocny, że „Vancouver” musiał zacząć sztormować pod foksztaksem i dwoma maksymalnie zrefowanymi marsłami²³. Dwudziestego pierwszego, dwudziestego drugiego ani dwudziestego trzeciego marca nie można było dokonać żadnych pomiarów. Słońce było ukryte za ciężkimi chmurami i kapitan Harrisson nie wiedział, ku jakiemu punktowi północnego Pacyfiku huragan pchał jego statek. Do starych kłopotów dołączył teraz kolejny.

Dwudziestego piątego marca około południa stan nieba lekko się zmienił. Wiatr obrócił się o ćwiartkę ku zachodowi i teraz sprzyjał żegludze. Pokazało się słońce, więc korzystając z tego, kapitan chciał dokonać pomiarów, tym bardziej nieodzownych, że o jakieś trzydzieści mil morskich na wschodzie zasygnalizowano ziemię.

Napotkanie w tej części Pacyfiku lądu, który nie był zaznaczony na najświeższych mapach, wywołało zdziwienie kapitana Harrissona. Czyżby jego statek został zaciągnięty tak daleko na północ, aż do szerokości geograficznej, na której leżały Aleuty? Tę ważną kwestię należało szybko zweryfikować. Kapitan podzielił się tą informacją z inżynierem, który okazał nie mniejsze od niego zdziwienie.

Kapitan Harrisson poszedł po sekstant²⁴ i wspiawszy na górny pokład rufowy, czekał, aż słońce osiągnie najwyższy punkt swego biegu, by dokonać obserwacji i dokładnie określić południk tego miejsca.

Była wówczas za dziesięć minut dwunasta i kapitan przyłożył oko do lunety sekstantu, kiedy na między-pokładzie rozległy się krzyki.

Kapitan Harrisson pognął na przód rufówki. W tej chwili około trzydziestu Kanaków, przytłoczywszy angielskich i amerykańskich marynarzy, wyskoczyło z luku²⁵, wydając straszliwe okrzyki. Wśród nich był uwolniony Maltańczyk.

Kapitan Harrisson w towarzystwie inżyniera natychmiast zszedł na główny pokład, gdzie otoczyli go marynarze z jego załogi, którzy pozostali mu wierni.

Dziesięć kroków od niego, przed grotmasztem²⁶, zatrzymała się stale rosnąca grupa zbuntowanych Kanaków. Większość z nich była uzbrojona w handszpaki²⁷, przebijaki i kołki wyrwane ze ściągaczy²⁸. Wywijali tą bronią, a ich okropne okrzyki mieszały się z okrzykami Maltańczyków i Murzynów. Zamiarem Kanaków było opanowanie statku, a bunt był wynikiem knowań pierwszego oficera Boba Gordona, który chciał zrobić z „Vancouvera” statek piracki.

Kapitan Harrisson zdecydował się skończyć z tym nędznikiem.

22 *Rufówka* – nadbudówka w rufowej (tylnej) części statku; rozciągająca się na całą szerokość pokładu.

23 *Sztormowanie* – sposób prowadzenia statku podczas sztormu w celu zminimalizowania zagrożenia; *foksztaksel* – trójkątny żagiel rozpięty przed fokmasztem; *marsel* – górny żagiel na maszcie, ponad głównym żaglem; *refowanie* – zmniejszanie powierzchni żagla stosowane przy silniejszych wiatrach w celu zmniejszenia siły działającej na żagiel.

24 *Sekstant* – optyczny przyrząd nawigacyjny stosowany niegdyś w żeglarskiej i astronomii, służący do mierzenia wysokości ciał niebieskich nad horyzontem, a także kątów poziomych i pionowych pomiędzy obiektami widocznymi na Ziemi; najczęstszym zastosowaniem sekstantu jest określenie szerokości geograficznej na podstawie pomiaru wysokości Słońca o godzinie 12 w południe czasu słonecznego lub określenie pozycji na podstawie pomiarów wysokości gwiazd rano i wieczorem.

25 *Luk* – zamykany otwór w pokładzie statku lub jego nadbudówki, służący do ładowania i wyładowywania towarów, do schodzenia w głąb kadłuba statku, do oświetlania i wietrzenia pomieszczeń pod pokładem itp.

26 *Grotmaszt* – główny maszt na żaglowcu, na „Vancouverze” drugi maszt od dziobu.

27 *Handsapak* – drewniany lub metalowy drążek długości 1-2 metrów, służący do wprawiania w ruch urządzeń znajdujących się na statku żaglowym; dawniej handszpaki służyły głównie do obsługi wielkich kabestanów, przy których pracowało od kilku do kilkadziesiąt marynarzy.

28 *Ściągacz talpepowy* – urządzenie stosowane do napinania lin olinowania stałego na dawnych żaglowcach; działa na zasadzie pary wieloboków uproszczonej do pary jufersów, czyli tarcz z kilkoma (najczęściej trzema) otworami, zwanych kipami; przez te otwory jest przewleczony talpep, czyli lina tworząca z jufersami rodzaj talii.